

WYDAWNICTWO IMIENIA MIECZYŚLAWA BRZEZIŃSKIEGO

TRZYDZIEŚCI MORGÓW

OPOWIADANIE.

Napisał WICEK Z WARSZAWY.

Korolowa

WYDAŃIE DRUGIE.

Z rysunkami Franciszka Kostrzeńskiego.



WARSZAWA

SPRZEDAŃCZYNIA W KSIĘGARNI POLSKIEJ, PL. WARECKI 6.
1912.

Trzydzieści morgów

Wincenty Kosiakiewicz



Warszawa, 1912

Pobrano z Wikizródeł dnia 20.03.2018

TRZYDZIEŚCI MORGÓW.

OPOWIADANIE

NAPISAŁ

WICEK Z WARSZAWY.

Wydanie drugie.

Z rysunkami Fr. Kostrzewskiego.

WARSZAWA

SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI POLSKIEJ, PL. WARECKI 6.
1912.



I • II • III • IV • V • VI • VII
VIII • IX • X • XI • XII



Druk F. Wyszynskiego i S-ki, Warszawa, Zgoda 5.

Ⓒ Tekst jest własnością publiczną (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Wincenty Kosiakiewicz.

I.

Dzień się poczynał. Naprzód ze wschodu szło świtanie i przecierać zaczynało ciemności nocne. Wtedy obudziły się ptaki w trawach śpiące i świergotać zaczęły i harmider robić, jakby na jarmarku jakim.

Potem poczerwieniało na wschodzie, jakby kto tam krwawej farby rozlał i pomalutku w tej czerwieni wychodzić zaczęło z za ziemi na niebo słońeczko.

W Bratkowie ruch powstał. Ledwo co nieco światła wsunęło przez okno do której izby, zaraz budził się czujny gospodarz i skrzętna gospodyni podnosiła ze snu dzieci, lub parobków, lub dziewczki i nie zadługo w zagrodzie każdy brał się do swojej roboty.

Wszystkiego tego nie widział już w owym dniu stary Tomasz, bogaty włościanin, który od dwóch miesięcy złożony ciężką chorobą, nie podnosił się z łóżka. Zmarł on w nocy prawie niespodziewanie. Choć chorował bowiem, nie myślano, aby takiego silnego chłopca tak prędko choroba na śmierć zmogła.

A jednak zmogła.

Leży oto na łóżku na wznak, nieruchomy, z głową zadartą do góry, z otwartymi ustami, z oczami patrzącymi sztywnie we drzwi komory. Zmienił się trochę po śmierci. Pożółkł cały i, choć nie dawno kazał się ogolić, cała broda i górna warga porosły siwymi sterczącymi, niby szczeciny, włosami.

Stary nie miał dzieci, a żona oddawna już na niego czekała na tamtym świecie. Przy łóżku jego stoi też tylko wychowanica Jagna i jej mąż Bartek, którzy w gospodarce starego rządzą, jak w swojej i za prawowitych gospodarzy się mieli.

Nie myśleli pewno o tem, że ich rządy póty trwać będą, póki życia starczy staremu. Teraz przyjdą ci, co im się podług prawa należy gospodarstwo, i wykwitują Jagnę i Bartka. Stary miał dwóch siostrzeńców po rodzonej siostrze. Jeden, Maciek, za młodu wywędrował do Warszawy i tam pono za stróża jest przy wielkiej kamienicy. Drugi, Jędrek, służy w wojsku i ma za dwa lata wrócić. Do nich to należy ta cała gospodarka, którą Jagna przywykła już za swoją uważać.

Stoi też ona przy łóżku zmarłego markotna i ponura.

Bartek po głowie się drapie i pacierz pod nosem szepcze. Żał mu Tomasza, z którym żył pod jednym dachem parę lat i krzywdy nijakiej od niego nie doznał.

Jagnie zaś żał i zmarłego, który ją jako sierotę z drogi publicznej podniósł, wychował, wyswatał i krowę dał na wiano, żał jej także i gospodarki trzydziesto morgowej, i chałupy, i dobytku.

Stoi nad trupem i myśli, czy niema sposobu, aby ostać przy gruncie. Oczy wlepiła w jedno miejsce i nie odzywa się ani słowem do męża. Dopiero, gdy ten wyjść chce i bierze za klamkę u drzwi, odwraca się do niego i mówi:

— Gdzie idziesz? po co wsi opowiadać, żeśmy na dziady zeszli, zaczekaj. Trza poradzić coś przecie. Tyleśmy lat tu przy gruncie byli i pracowali, to i nie wyjdziem z niego.

Bartek wrócił na środek izby.

Choć mu markotno było za starym, ale i on przecież był gospodarzem i on uważał prawie za swoje Tomasza morgi. Czuł on, że do tej ziemi ma prawo, bo ją przez lat tyle rękami własnymi uprawiał, jeno nie przemyślał nad tem, bo sposobu żadnego nie widział.

Ale kobieta jest przebieglejsza od chłopca. Jagna wnet

pomyślała sposób, jeno nie śmiała odrazu powiedzieć o nim Bartkowi.

Zaczęła więc wyrzekać na zmarłego. Mówiła, że powinien był testament napisać i choć połowę gruntu jej przeznaczyć za to, że tyle lat koło niego chodziła i dogadzała mu lepiej, niżby to rodzona córka zrobiła. A stary ani pomyślał o tem, żeby wynagrodzić jej trudy, umarł spokojnie i teraz grunt zabiorą siostrzeńcy, a przez całe życie ani krzty serca do starego nie mieli, nie szanowali go i wyzywali ciągle za oczy.

Bartek spuścił głowę ku ziemi i na to gadanie odpowiadał tylko od czasu do czasu:

— A juści.

Potem umilkła Jagna i przez czas długi żadne się nie odezwało. Tymczasem już dzień był zupełny na świecie, a zegar na ścianie wskazywał godzinę szóstą.

Jagna milczała i myślała.

Wreszcie, jakby postanowienie przyszło jej do głowy, bo zwróciła się do Bartka i po cichu, choć niktby przecie nie usłyszał, szepnęła do niego.

— Słyszysz? nie mów nic nikomu, że stary zmarł. Ani słowa. Idź przez wieś, jakby się nic nie stało. Wstąp do Aplasa i powiedz, żeby duchem tu przyszedł, rozumiesz?

Bartek spojrzął jej w oczy.

Domyślił się, że Jagna sposób na ostatek przy gruncie znalazła, ale nie miał śmiałości zapytać się, jaki to jest ten sposób. Ale nic się nie odezwał, bo jeno nałożył czapkę na głowę i, zdając się na rozum swojej baby, poszedł do Aplasa.



Ⓒ Tekst jest własnością publiczną (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: [Wincenty Kosiakiewicz](#).

II.

Aplasz był to Niemczysko rude, zyzowate, długie i cienkie niby tyka od chmielu, chodził zaś przygarbiony nie od wieku, bo był to młody jeszcze całkiem chłop, ale dlatego, że trudno mu było prosto trzymać swoją długą figurę.

Mieszkał on w końcu wsi na komornem u Niemca kolonisty, Purata. Podobno był żonaty, ale, jako nic dobrego, żonę bił i zabierał jej zarobek, więc też od niego uciekła.

Człowiek to był niedobry, do wódki chętny bardzo, ale do pracy jak najmniej. Czasem, to jak mu przyszła fantazyja, wynajmował się czy do rąbania, czy do żniwa i robił za dwóch; gdy zaś pieniądze dostał, pił do upadłego i poił każdego, kto z nim chciał pić.

Patrzył on głównie na lekkie zarobki. Gadano też po wsi, że Aplasz trochę złodziejstwem się trudni i że zna się z bandą koniokradów, która od Sandomierza aż po przeciwną granicę wszędzie utrzymuje stacje do przechowywania kradzionych koni. Nikt jednak Aplasza na gorącym uczynku nie złapał.

Takiego to człowieka przyprowadził Bartek do chałupy w dzień śmierci Tomasza.

Jagna przyjęła Aplasza bardzo mile; Bartek wyszedł z izby, a gdy wrócił za pół godziny i spojrzął na Aplasza, ani go poznał. Na stole leży brzytwa i rozrobione mydło, a Aplasz wygolony zupełnie na taki sposób, jak to nosił się stary Tomasz. Niema ani jednego rudego włosa wokoło gęby.

Jagna wzięła zmarłego za nogi, Aplasz pochwycił za pod pachy, zwlekli go z łoża, zanieśli do komory i przykryli słomą.

— Zaprzęgaj teraz konie! — woła Jagna do Bartka, a oczy

jej iskrzą się,
jak u kota
ślepie po
nocy — i co
duchu leć do
miasta po
rejenta. A
kogo jeno
spotkasz po
drodze, to
przystawaj i
mów, że
starego
okropnie w
sobie sparło,
że jęczy
okrutnie, że
pewnikiem

do wieczora nie dociągnie i że chce testament spisać. A jakby się pytali ludzie, komu grunt stary chce zapisać, to mów, że nie wiesz, bo chory nic nie gada, jeno jęczy.

Ale Bartek nie poruszył się. Stał, jak słup wkopany w ziemię.

Jagna go szarpnęła.

On nic. Wtedy Jagna rozpuściła gębę. Zaczęła wymyślać mu, że nie chłop jest, ale gorzej, niż baba, że przez niego wyjdą na dziady, że chce wszystko zaprzepaścić.

I tak mu zaczęła doskwierać, że wyszedł do stajni i jął konie zakładać. Gdy zaś wyjechał przed dom, Jagna podeszła i rzekła:



Jagna z Niemcem zanieśli zmarłego do komory.

— My już z Aplasem wszystko tu zrobimy. Ty ino pędź, co sił i przywoź rejenta, a pamiętaj powiadać ludziom po drodze, że stary dziś pewno zamrze, i że strasznie jęczy.

Bartek zaciął konie i pojechał.

Gdy powrócił po dwóch godzinach z rejentem i jego pisarzem, zastał dom swój wypełniony babami z całej wsi. Jagna głośno lamentowała i płakała, a na łóżku leżał Aplas z owiniętą głową tak dobrze, że ani jednego rudego włosa nie było widać, a twarz miał odwróconą do ściany i od czasu do czasu wydawał długi, głośny jęk.

Gorąco się chłopu zrobiło, gdy ujrzał to wszystko, ale widzi, że już za późno cofać się. Więc przystawił stół do łóżka.

Rejent i pisarz usiedli, rozłożyli księgi i Aplas cichym, ledwie że dosłyszonym głosem, przerywanym jękami, podyktował testament, mocą którego wszystko zapisuje Jagnie, swojej wychowanicy, a tylko dwieście rubli kościołowi na ufundowanie mszy wiecznej za swoją, niby starego Tomasza, grzeszną duszę.

Wszystko udało się doskonale.

Baby nawet nic nie poznały, bo gdy która bliżej do łóżka się przysuwała, to zaraz Jagna wracała ją do drzwi, mówiąc:

— Nie podchodźcie ta bliżej, bo może to zaraźliwe.

Dopiero gdy testament był już napisany, pisarz go przeczytał, Aplas położył na nim trzy krzyże, a rejent, schowawszy zapłatę, rzekł:

— No, jedźmy już!

Wtedy dopiero Bartkowi zrobiło się błogo, jakby kto mu zdjął ciężar z piersi.

Raźno wsiadł na bryczkę i podcinał konia, aby jak najprędzej zawieźć rejenta i pisarza do miasta. Tam wstąpił do

szynku, wypił sobie półkwarcie okowity i wrócił do domu.

Wódka zakręciła mu dobrze w głowie, bo gdy wjeżdżał do wsi, jakaś baba krzyknęła mu:

— Bartku! stary Tomasz już zmarł!

A on, zamiast co innego powiedzieć, rzekł:

— A cóż to? nie wiem tego!

Szczęściem bełkotał niewyraźnie, jak pijany, i baba przeszła, nic z tego nie domyśliwszy się.

Gdy zajechał do domu, na łóżku leżał po dawnemu sztywny, żółty trup starego Tomasza. Dwoje dzieciaków, które wyгнаły o świcie gadzinę w pole i dopiero na południe wróciwszy, o śmierci dziadka się dowiedziały, płakały cicho pod piecem.

— Teraz my tu — szepnęła do niego Jagna — gospodarze na wieki.



III.

W parę dni potem sprawiono Tomaszowi pogrzeb.

Odbył się on uroczyście, ksiądz szedł pieszko aż do cmentarza, światła było wiele. Bartek i Jagna pieniędzy nie żalowali, czemu się ludzie nie dziwili. Uważali nawet, że obowiązek nakazywał tak im postąpić za dobro, jakim stary przy śmierci ich obdarzył.

Po pogrzebie wszystko wróciło do dawnego.

Bartek pracował na roli, jak pracował dawniej, tylko Jagna pyszniejsza się stała, nasprawiła też sobie kolorowych chustek, czepków i wstążek jedwabnych i w kościele co niedziela wysuwała się naprzód, jak najbliżej ołtarza, aby pokazać, że jej się pierwsze miejsce należy.

I upływał miesiąc za miesiącem.

Nadeszły żniwa. Bartek szczęśliwie z pola sprzątnął zboże i zapakował stodołę aż pod samą górną krokiew. Urodzaje były bardzo dobre.

Na jesieni huczały na klepisku cepy.

Pszenica była podsypna, żyto jeszcze więcej. Bartek swój grunt obsiał, obrobiwszy go uczciwie, na życie na rok cały ziarno odłożył, trochę jeszcze zostawił w słomie na potem, a zaś dziesięć korcy pszenicy i piętnaście żyta sprzedał na jarmarku.

Wziął za to pieniędzy dosyć, bo na siewy zboże podskoczyło w cenie i przyniósł ruble Jagnie.

Ta się uśmiechnęła do pieniędzy i posłała zaraz do karczmy po okowitę.

Pili sobie przez cały wieczór, a Jagna mówiła do męża:

— A widzisz! żeby nie moja głowa, to mielibyśmy tyle

pieniędzy? co?

Pieniądze schowali do skrzyni.

Przed zimą Jagna wydobyła je wszakże, aby przyodziać uczciwiej Bartka, który wyglądał ciągle na parobka. Więc sprawiła mu szarą sukmanę nową z czarnymi wyszyciami i pas, jak się patrzy, i buty nowe i ciepły kozuch na zimę.

Przytem znowu sobie podpili trochę z uciechy, a Jagna napatrzeć się nie mogła na Bartka, że tak mu pięknie w nowem ubraniu.

— Teraz — mówiła do niego, śmiejąc się — to nie tylko na gospodarza patrzysz, ale i na wójta!

Chłopcom także na jesieni sprawiła nowy przyodziewek i buty. Bardzo byli tem ucieszeni, bo to były pierwsze buty w ich życiu.

Na jesieni po zasiewach pełno po wsiach wesel. W Bratkowie też młodzi żenili się, a co dnia niemal słyhać było skrzypki i cymbałki i widać dziewczuchy wystrojone i chłopców, idących do kościoła.

Jagnę i Bartka wszędy zapraszano na wesela. Jagna zaś szczęśliwa, że ją ludzie tak szanują, tańczyła do upadłego, choć była kobieta a nie dziewczucha.

Zima tego roku była mroźna, wietrzna i długa. W chałupie Bartkowej ani zważano na nią. Dostatek tu panował. Na Boże Narodzenie zabito ukarmionego wieprza. Okrasy więc do jadła Jagna nie żałowała.

I tak żyli sobie dostatnio, zadowoleni ze sposobu, który uczynił, że biedny parobek odrazu bez pracy został najzamożniejszym we wsi gospodarzem, a biedna sierota bogatą gospodynią.



Ⓒ Tekst jest własnością publiczną (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Wincenty Kosiakiewicz.

IV.

Aplas żył sobie bardzo dobrze od śmierci starego Tomasza. Z początku tylko śmieli się ludzie na wsi z jego wygolonej gęby; polskiemu kmieciowi to jakoś poważnie jest, gdy nie ma ani wąsów, ani brody przy twarzy, ale Aplas to zupełnie patrzył na niemiecką małpę.

Nikommu wszakże do głowy nie przyszło, co to ogolenie znaczyć miało. Że zaś wkrótce broda i wąsy odrosły, więc i sprawa ta poszła w zupełne zapomnienie.

Do domu Bartkowego zaglądał Niemiec często.

Za tę sztukę z testamentem Jagna obiecała Aplasowi dziesięć rubli i zaraz mu na zadatek wetknęła w łapę pięciorublowy papierek. Potem dała mu jeszcze pięć rubli i myślała sobie, że już dosyć zapłaciła.

Aplas o więcej zaczął się upominać, roześmiała się Jagna i wprost mu powiedziała.

— Ho! ho! chcecie tyle pieniędzy, a robota wasza nie warta tego.

Ale Niemiec się uparł. Nie było więc co robić.

Jagna sięgnęła do kuferka i wyjęła trzyrublowy papierek.

— No wiedzcie, że jestem dobra kobieta — rzekła do Niemca. — Macie tu trzy ruble, ale to ostatnie. Więcej i nie przychodźcie, bo nic już nie wskóracie.

Niemiec nie odpowiedział nic, spojrział jeno z podełba na Jagnę i schował pieniądz do kamizelki.

Poszedł też zaraz do karczmy i mieszkał tam przez dwa dni, póki ostatniego grosza nie przepił. Gdy zaś wyspał się i wytrzeźwiał, poszedł wprost, jak ćma do ognia, do chałupy Bartka.

Skoro Jagna go ujrzała wchodzącego, pomyślała sobie, że trzeba Niemca wypędzić, bo inaczej on ciągle będzie łaził, jak się złasi.

— Czego chcecie? — spytała go ostro.

Ale Niemiec wcale się jej tonem nie zmartwił.

— Wy wiecie, czego ja chcę — odrzekł spokojnie.

— No, czego?

— Pieniądzy.

— Jakich znowu pieniędzy?

— Moich pieniędzy. Tych, co mi się od was należą.

— Nie gadalibyście po próżnicy — odrzekła Jagna. — Nic wam się nie należy i nic nie dostaniecie. Idźcie sobie, bo jak mój przyjdzie, to was jeszcze potłucze.

— Potłucze? — zapytał Niemiec spokojnie. — No, niech potłucze. Ja się nie boję.

Jagna samaby Niemca wyprała i wypędziła, bo to była silna i śmiała kobieta, ale z Aplasem nie miała jakoś odwagi. Krzątała się po izbie, zmywała garnuszki, a Niemiec wciąż siedział, nie myślał odejść.

To ją wreszcie zniecierpliwiło.

— Długo tu będziecie siedzieć? — zapytała.

— Dopóki mi pieniędzy nie dacie, — odrzekł Niemiec.

— No, a ileż chcecie?

— Dajcie, choć z dziesięć rubli!

— Bójcie się Boga — rzekła Jagna z kpinkami — toć wy sami nie jesteście tyle warci.

Niemiec nic na to.

— Ktoby tam dał tyle pieniędzy takiemu?

I żeby

pozyskać
święty
spokój, dała
mu jeszcze
rubla.

Niemiec
wziął go,
przepił do
wieczora, a
nazajutrz
rano znowu
przyszedł do
Jagny po
pieniądze.

To ją
rozniewało
okrutnie.



Wynoście
się —
zawołała, nie

pozwalając mu przestąpić progu. — Wynoście się zaraz.

Teraz Niemiec podniósł swój rudy łeb do góry.

— To tak — rzekł — no! to pięknie mi dziękujesz za to,
żem gospodarzami was uczynił.

— No, no! — krzyknęła Jagna. — Nie mam czasu na
rozmowy, wynoście się, bo...

I pochwyciła za polano drzewa.

Ale Niemiec nie zląkł się tego.

— Wy głupi jesteście, — rzekł do Jagny. — Moje słowo

Jagna, chwyciwszy polano, krzyknęła na Niemca, aby się
wynosił...

dało wam ten grunt; ale jak ja inne znowu słowo powiem, to i grunt wam odbiorą, i na całe życie do kryminału zapakują.

Jagna spojrzała na niego i struchlała.

— Co wy gadacie? — szepnęła.

— Wy prawa nie znacie — mówił Niemiec — a ja znam. Zrobiliśmy kryminał. Ja się tam tego nie boję; mnie wszystko jedno, tu żyć czy tam żyć. Ale jak was od gruntu odsadzą, zamkną w więzieniu, he! to wam nie będzie dobrze.

— Albo wy to możecie uczynić? — rzekła Jagna zalękniona.

— Jedno słowo i wy już w kryminale. Pójdę do sądu i powiem, że ja udawał Tomasza, a Tomasz już wtedy umarł.

Jagnę ognie przeszły.

— Siadajcie — rzekła do Niemca.

Aplas usiadł.

Wtedy Jagna zaczęła rozwodzić przed nim swoje żale i utyskiwać na brak pieniędzy. Widziała ona, że Niemca zapłacić będzie trzeba — rady na to niema, ale myślała, że choć utarguje z kilka rubli. Niemiec twardym nie był wcale. Wziął, co mu dała, i przyrzekł tak, jak chciała, że już więcej dopominać się nie będzie. A że wziął sześć rubli, nie pokazał się w chałupie Bartkowej przez cały miesiąc.

Jagna oddychała, myśląc, że już jej ten ciężar zupełnie zleciał z głowy. Tymczasem po miesiącu Niemiec znowu przyszedł i znowu zażądał pieniędzy.

A pieniędzy wtedy nie było w domu. Jagna ogarnęła wszystkich, Bartek podatki wniósł do sołtysa, i w domu, choć to był dom zamożny, nie było wtedy ani rubla.

Jagna pokazała cały kufer Aplasowi. Ale ten na to nie uważał.

— Dacie jeszcze dwadzieścia rubli — mówił nieustannie.

Jagna przypomniła mu, że przecież przyrzekł już, iż o nic upominać się nie będzie.

A Niemiec na to:

— Nic nie wiem. Wiem tyle, że dacie mi dwadzieścia rubli i musicie mi je dać.

Jagnę ogarniała pasya, ale wstrzymywała się.

— Dałabym wam — mówiła uprzejmie — ale przecież widzicie, że nie mam. Miejcie wyrozumienie.

— Nie macie — rzekł Niemiec, to sobie pożyczcie. Mnie nie pożyczą, ale wam to pożyczą.

— A od kogoż ja pożyczę?

— To wasza głowa. Mnie potrzeba dwadzieścia rubli.

Jagna pomyślała sobie, że Niemiec spokoju jej nie da.

— Przyjdźcie jutro, to wam dam.

Niemiec zabrał się do odejścia.

— Tylko żeby było już pewno — upominał Jagnę.

Jagna wysłała Bartka do żyda, aby pożyczyl dwadzieścia rubli. Żyd wziął w procencie dwa korce owsa i pół kopy słomy. Ale Jagna nie żałowała tego. Dała nazajutrz pieniądze Aplasowi, kontenta nawet, że się odczepiła od niego na zawsze.



V.

Na świecie rozsiadła się wiosna, syjąc wszędzie zielenią, pogodą i ciepłem. A że ciepło to trochę spóźnione przyszło, bo zima długo ziemię pod śniegiem trzymała, przeto każdy niezmiernie się śpieszył z owsami i grochem.

Do Wielkiejnocy jeszcze cztery pozostawało niedziele i właśnie ksiądz na ambonie ogłosił początek wielkiej dorocznej spowiedzi.

Gdy ksiądz rzecz swoją o spowiedzi wypowiedział, nagle Bartek poczuł, jakby mu coś wlało pod serce. Nie rozumiał, coby to być mogło; nie bolało, nie kłuło, a przecie spokoju nie dawało.

Wspomniał sobie, ni stąd, ni zowąd, na ów dzień, gdy obudziwszy się, spostrzegł na łóżku nieżywego już Tomasza, i wyjazd do miasteczka po rejenta i spisanie testamentu.

Wyszedł zaraz z kościoła, nie doczekawszy końca i usiadł sobie na cmentarzu.

Zmartwienie wielkie go pochwyciło. Opuścił głowę i zamyślił się.

Oto spowiedź święta nadeszła, w której człowiek z całorocznych grzechów się oczyszcza i ulgi na duszy dostępuje i z Panem Bogiem się godzi, a on tak wielki w sobie grzech dźwiga, że mu nie przystąpić do konfesjonału.

I teraz dopiero, gdy stanął u progu, na którym przyszło mu z całorocznego życia zdać Bogu rachunek, teraz dopiero poczuł Bartek, co popełnił.

Zmartwiony poszedł przez wieś w pola.

Gdy wrócił, Jagna wykrzyczała go, że z jadłem tak długo na niego czekali.

— Gdzieżeś to był? — zapytała go.

— Ta! chodziłem oglądać owsy.

— Owsy! A toć dopiero onegdaj je posiałeś.

Chłop nic nie odrzekł.

Usiadł przy stole, wziął w rękę łyżkę, ale mu jadło do gęby nie szło.

Jagna spojrzała mu w oczy.

— Cóżeś ty taki markotny?

Kiwnął tylko głową, wstał od stołu i usiadł na przyźbie.

Jagna przysiadła się do niego.

— No, gadajże — nastawała — co ci to? gadajże, słyszysz?

Aby się pozbyć tych zapytań, powiedział jej, że go w sobie boli.

To uspokoiło Jagnę. Poradziła mu, aby napił się mocnej okowity, to przejdzie.

Bartek posłuchał jej rady.

Po obiedzie poszedł do szynku.

Tu ludu było wiele, jak zwyczajnie w święto.

Na czarnych stołach stały flaszki, sąsiedzi i sąsiadki wesoło rozmawiali, w kącie pijany kum ścisnął kumę, a za szynkwasem stał żydek z małą, czarną bródką i nalewał kieliszki.

Bartek wypił jeden, wypił drugi, wypił trzeci.

Raźniej mu się zrobiło.

Przysiadł się do stołu i zaczął się przysłuchiwać rozmowie.

Lżej zrobiło mu się na duszy. Zmartwienie uciekło od wódki i od ludzi.

Pił więc jeszcze sam i zaczął słowa wtrącać do rozmowy.

Wrócił do domu, chwiejąc się na nogach, ale wesół okrutnie i ze śpiewką na ustach.

Od tego czasu, jak tylko zmartwienie przystępowało do niego, zaraz mu na myśl przychodziła karczma.

— Najlepiej — myślał sobie — frasunek utopić w wódce.

Zrazu to wstrzymał się do święta lub niedzieli. Ale ciężko mu było zmartwienie przez parę dni dźwigać.

Raz więc upił się w dzień powszedni i od tego czasu nie baczył już na święto. Gdy chytał go frasunek, biegł do karczmy szukać oderwania od myśli, która go gnębiła.



© Tekst jest [własnością publiczną \(public domain\)](#). Szczegóły licencji na stronie autora: [Wincenty Kosiakiewicz](#).

VI.

Zaczęło się teraz dla Bartka życie pełne zgryzot i niepokoju. Niemiłą mu się stała ta ziemia, którą posiadał, gdy przypomniał sobie życie przeszłe, gdy pomyślał: „tam dusza starego Tomasza wie o oszukaństwie z testamentem“.

I Jagna także nie była taka rada w duszy, jak z początku.

Niepokoili ją ta smutna ciągle mina Bartka, który przed nią nie chciał powiedzieć, co za robak gryzie jego serce. Jagna domyślała się, co to był za robak. I ją gryzło zmartwienie, ale nie o to, że grzech popełniła, lecz żyła ona w ciągłym strachu, czy się oszustwo nie wyda.

Wkrótce przekonała się bowiem, że z chytrym Niemcem nie da sobie rady. Przypiął on się do dobytku, niby cielę do cycka, ssał pieniądze bez miary i litości.

Przepił on był wszystko, co dostał, pracy nie lubił tak okrutnie, jak okrutnie lubił wódkę, więc też gdy zbrakło pieniędzy, szedł po nie wprost do Jagny.

Kobieta chciała z początku odczepić się od niego. Ale Niemiec teraz gadał, że należy mu się połowa całego dobytku, piętnaście morgów, bo tylko z jego łaski ma Bartek i Jagna ten grunt i chałupę.

Przychodził więc często w odwiedziny do Jagny i zawsze uniósł, jeżeli nie co gotowizny, to choć ćwierć jakiego zboża na plecach, które karczmarz przyjmował bardzo chętnie.

Z początku było we wsi cicho, ale potem ludzie zwrócili uwagę na częste stosunki Aplasa z domem Bartkowym.

Spostrzegli, że jak rok długi, Niemiec ani na jeden dzień do pracy się nie wynajął, a niema dnia, żeby do karczmy nie wstąpił i wódki sobie pożałował.

Zacząli więc to tłumaczyć sobie tem, że Jagna z Aplasem znajdują się bliżej.

I chodziła ta plotka po wsi od baby do baby, od chałupy do chałupy, aż wreszcie pewnego razu jakiś chłop pijany w kłótni powiedział wprost w oczy Bartkowi, co gadają o jego żonie i rudym Niemcu.

Chłop zakipiał cały.

Uwierzył temu odrazu, nie domiarkowawszy się powodu.

W strasznym gniewie przyleciał do chałupy i wprost kułaki zaciśnięte przystawił do oczu żony.

— Co ci to! co ci to! — zawołała przelękniona Jagna.

A gdy powiedział Bartek, o co mu chodzi, zaczęła się śmiać.

Bartek stanął zadziwiony.

Już ją miał bić, ileby wlażło, i spodziewał się, że ona będzie, albo krzyczeć, że to nieprawda, co gadają, albo zaklinać się lub płakać, a ta się śmieje.

— Oj! ty głupi! głupi! — powiedziała mu wreszcie.

Bartek do reszty zgłupiał.

— A co rzekł po chwili. — Może się zaprzesz?

— Kto ci to powiedział? — zapytała.

— Ludzie.

— Oj, ty, baranie! I tyś zaraz dał temu wiarę.

— Może to nieprawda? Może nie chodzi tu Aplas, może mu nie dajesz pieniędzy i zboża.

— A to ty nie wiesz, za co mu daję?

Bartka odrazu ominęła złość i w głowę jego weszło zrozumienie, że ludzie dlatego pozór nadają taki, iż nie wiedzą rzeczywistej przyczyny, co jest między Jagną a Niemcem.

Od tej chwili patrzył na Aplasa, jak pies na kota.

Wiedział, że po wsi trzęsie się plotka o nim i jego żonie, a

nie mógł Niemcowi zabronić przychodzenia do Jagny, bo bał się, aby w złości nie wygadał prawdy, czem chytre Niemczysko ciągle groziło.

Od tego czasu jeszcze markotniejsze wiódł życie.



Ⓒ Tekst jest własnością publiczną (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: [Wincenty Kosiakiewicz](#).

VII.

Życie takie trwało pół roku.

Bartek pracował w roli niedbale, byle zbyć robotę, jakby na cudzem, zawsze chodził ze spuszczoną głową i do kościoła nie zaglądał nigdy.

Jagna miała ciągle zmartwienie z Aplasem i ciągły strach, aby ten nie wydał wszystkiego przed sądem.

Gospodarka więc nie szła tak dobrze, jak powinna, a przy tem dług u żyda rósł i rósł, jak kartofle na gnoju.

Pewnego razu, tak jakoś przy końcu jesieni, siedziała sobie Jagna przy otwartem oknie, chesała len i wyglądała na drogę wiejską, ocienioną przed słońcem wierzbnami.

Na końcu drogi pokazał się jakiś człowiek, ubrany w długą sukmanę, z węzełkiem w ręku. Daleko było, więc nie rozeznawała jego twarzy.

Człowiek wszedł do wsi i przybliżał się coraz bardziej. Jagna przypatrywała mu się bystro, sama nie wiedząc, dlaczego, i poznała Jędrka, siostrzeńca starego Tomasza, prawowitego właściciela gruntu, który teraz na mocy podrobionego testamentu ona zajmuje.

Jędrak wracał z wojska. Odслужиł swoje i oto przychodzi do domu. Szynelek na nim stary i czapka wojskowa z żółtym numerem i czerwone epolety na ramionach.

Idzie wprost do zagrody swojego wuja.

Ładny to chłopak, smagły, zgrabny, ze ściągłą twarzą i wesołym spojrzeniem.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — przemówił pierwszy.

— Na wieki wieków — odpowiedziała Jagna.

— No, jak się macie? — mówił dalej Jędrrek. — Cóż, poznajecie mnie?

Jagna uśmiecha się do niego, i prosi, aby wszedł dalej i wypytuje go, gdzie służył, czy mu było dobrze.

— Ale gdzie to stary? — zapytuje Jędrrek.

— Jaki stary? — pyta Jagna.

— No, Tomasz, wuj. Pewno w polu.

— A juści, w polu! Nie w polu, jeno w ziemi leży.

Jędrrek aż podniósł się na tę wieść.

— Co wy gadacie? — zawołał — czyżby umarł?

Jagna przybrała twarz smutną.

— A umarł — rzekła. Będzie już temu blisko dwa lata.

Chorował bez dwa miesiące i nie powstał już z tej choroby.

Jędrrek spuścił smutno głowę na dół.

— A ja nic nie wiedziałem. Myślałem, że go zastanę i powitam.

Nie mówili nic przez czas jakiś.

Wreszcie Jagna sama pierwsza zaczęła mówić, aby dowiedział się, czyj jest grunt, na który sobie wiele lat ostrzył zęby.

Zaczęła od choroby.

— Bardzo go w sobie bolało — opowiadała — krzyczał i stękał okrutnie. Nieraz to w domu i trudno było usiedzieć. Czasem nad ranem to już nie stękał, ale tak jęczał po cichu. Mój dochodzi do niego, a on powiada: „mój Bartku, na mnie już przyszła moja godzina, ja wieczora nie dociągnę. Załóżże duchem konie — weź dziesięciorublowy papierek w szmatkę i skocz po rejenta do miasteczka“.

Jędrrek poruszył się na siedzeniu i w oczach błysnął mu ogień.

— Do rejenta? — zapytał.

— A juści. Powiada: „chcę zrobić testament, śpiesz się jeno, aby mnie nie zadusiło, nim wrócisz“.

— I nie zadusiło? — spytał Jędrek.

— Dusiło go, dusiło, ale jeszcze żył trochę za południe.

— I spisał testament?

— A juści.

— No, i zapisał też wam co?

— A zapisał.

— I co?

— Co? wszystko.

Znowu Jędrek podniósł się z krzesła na tę wiadomość.

— Co! — krzyknął — wam wszystko? A mnie co?

— A nic.

— Nic!! nic?!

— No, no, zobaczymy — rzekł. — Testament musi być u rejenta, to się zobaczy.

— Juści — odrzekła Jagna krótko.

— Ale to jest w tem coś — mówił Jędrek. Ja przecie i Maciek to jesteśmy najbliższa jego rodzina. To nie może być, żeby nas pominął. Zły na nas nie był, krzywdy do nas nie chował. A nieraz słyszałem, jak mówił i nam i nieboszczce matce: „chłopakom grunt zostawię“. To się wyklaruje. Ja się oszukać nie dam. No! no! Mnie w pole nie wyprowadzi.

I mówił jeszcze dalej, patrząc na Jagnę.

Ta nie odzywała się wcale, czesała sobie spokojnie len dalej i wyglądała przez okno na drogę.

Jędrek ciągle jeszcze miał nadzieję, że Jagna nie mówi prawdy.

— Słyszysz, Jagna — mówił, siląc się na łagodność — toć

że to nie może być, żeby wam wszystko zapisał, a mnie nic. Przecie wy nie krewna jego żadna, jeno wychowanica. Może wam sześć morgów zapisał? powiedzcie prawdę, boć prawda się nie ukryje. Ja wam nie będę sprzeczny. No, powiedzcie, jak było?!

— Co sobie będę gębę psuć — odrzekła hardo Jagna. Powiedziałam raz, że wszystko mi zapisał.

Jędrek zaczął chodzić po pokoju.

— To nie może być, to nie może być — gadał jakby do siebie. Ja jutro zaraz pójdę do rejenta.

— A idź — odparła mu krótko Jagna.

Chodził jeszcze trochę po izbie, wreszcie widząc, że Jagna niechętnie go przyjmuje, zabrał się do odejścia.

— No, do zobaczenia — rzekł, biorąc za kłamkę. Zobaczymy się jeszcze.

— Ostańcie z Bogiem — odrzekła Jagna.

Wyszedł.

Jagna pozostała sama. Westchnęła ciężko. Czuła, że przybyło jej niemało kłopotu i zmartwienia.



VIII.

Na drugi dzień rano obudziła się Jagna z myślą o Jędrku.

— Będzie chodził po wsi — myślała sobie — rozpytywał się, wydziwiał i złorzeczył. Z razu ludzie będą go słuchać i potakiwać. Potem ustanie mu gęba, a i ludziom się sprzykrzy.

Pocieszywszy się w ten sposób, zabrała się do zwykłej roboty.

Wychodzi na dwór, aby posypać gęsiom ziarna, widzi — idą przez wieś razem, coś sobie opowiadając żywo, Jędrak z Aplasem.

Jagnę zdjął strach.

— Odrazu się poznali — pomyślała — na moją zgubę.

Przeszli obok zagrody, powiedzieli: „pochwalony“ i poszli dalej.

Jagna śledziła ich wzrokiem.

Poszli do karczmy.

Kobiecie już do żadnej pracy wziąć się nie chciało. Ręce jej po prostu opadały. Chciała pogadać z Bartkiem, ale z chłopem tym po ludzku rozmówić się nie było można. Robił wszystko, co mu Jagna kazała, ale gdy do gadania przyszło kiedy, to głowę spuszczał do ziemi — trudno słowa było od niego wydobyć.

Wytłumaczyła sobie Jagna, ochłonawszy, że to nie dziwota, iż Jędrak z Aplasem się zesзли; obaj pijatykę lubią i Aplas także w wojsku służył.

Mimo to do wieczora chodziła po domu niby chory w gorączce.

Przy wieczerzy zaś powiada do męża:

— Póki ten Niemiec będzie we wsi, póty my chwilki

spokoju nie zaznamy. Innej rady niema na niego, jeno taka: wyszukać gdzie w dalekiej wsi, im dalej, tem lepiej, jakie kawałtko gruntu, zaciągnąć jeszcze pożyczkę i grunt ten dla niego kupić, byle ze wsi poszedł, bo będzie nieszczęście.

Bartek, jak zwykle, nic nie odrzekł.

Jagna zaczęła naprawdę myśleć o tem.

Przyjmowała teraz grzecznie u siebie Aplasa, smażyła mu jajecznicę i pewnego razu powiedziała, że kupi mu grunt, jeżeli gdzie wynajdzie do kupna niewielki kawałek.

Niemiec się ucieszył.

Nazwał Jagnę dobrą kobietą, przysiągł się, że z ust jego nigdy nie wyjdzie nic takiego, coby jej krzywdę przyniosło, a nawet, aby się Jagnie przypodobać, przestał przyjaźnić się z Jędrkiem.

Chodził też po okolicy, aby wynaleźć co odpowiedniego dla siebie.

Znajdował w paru miejscach małe zagrody po trzy, po cztery morgi i potem chodzili z Jagną oglądać je, ale wszystko to nie udawało się kobiecie. Zawsze znalazła coś do przyganienia — na prawdę zaś uważała, że grunt był za blisko Bratkowa.

Niemiec więc chodził po dalszych wsiach i w końcu wynalazł o trzy mile czteromorgowy grunt do sprzedania.

— Trzy mile, — pomyślała Jagna, — to dosyć daleko — nie będzie przyłaził.

Zaczęto więc targ.

Wkońcu zgodzono ten grunt za tysiąc rubli na czteroletnią spłatę i przepisano go u rejenta na Aplasa.

Tak więc Aplas bez pracy został gospodarzem, a Jagna, uczyniwszy to, pomyślała sobie, że teraz nareszcie ma głowę spokojną.



Ⓒ Tekst jest własnością publiczną (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Wincenty Kosiakiewicz.

IX.

Upłynęło pięć lat.

Duży to czasu kawał, a choć wojny nie było, to przecież na świecie wiele się zmian dokonało. Zaszły też zmiany i w zagrodzie starego Tomasza — i to duże.

Jagna została wdową.

Bartek umarł ze zgryzot.

Do końca życia był ponury i negadatliwy. Wysychał zaś coraz więcej, niby ścięte drzewo, aż bez choroby i bólu umarł.

Ludzie się dziwili, że śmierć jęła takiego młodego i zdrowego chłopca, a nie wiedzieli o tem, że stoczyło go zmartwienie, tak jak dużą jaką roślinę stoczy nieraz malutki i ukryty przed okiem człowieka robaczek.

Pozostała więc teraz sama Jagna na swoich trzydziestu morgach.

Ale całych trzydziestu morgów nie utrzymała długo.

Interesy były bardzo złe, co roku trzeba było spłacać grunt kupiony dla Niemca, a na to szło siła pieniędzy; przytem i dawnego długu było trochę. W dodatku do nieszczęść ziemia, którą Bartek bardzo lichy bez chęci i zamiłowania uprawiał, źle rodziła.

Jagna więc zmuszona była odprzedać część swojego gruntu, aby się przy reszcie utrzymać.

A że chciała mieć i trochę gotowizny, więc wystawiła do kupna całe morgów dziesięć.

— I tak mam dosyć — myślała. — Żyć będę dostatnio i jeszcze dzieci po dziesięć morgów dostaną.

Odcięty grunt nabył sąsiad Jagny, Warchała.

Jagna długi popłaciła i pomyślała sobie:

— No, teraz mam już spokojną głowę.

Od Aplasa nie miała rzeczywiście umęczenia. Niemiec nie zachodził wcale do Bratkowa.

Jędrak zaś uciszył się wkrótce, widząc, że testament zrobiony rejentalnie i że nic nie wskóra. Przeniósł się do sąsiedniej wsi, tam się ożenił i żył z wyrobku.



© Tekst jest [własnością publiczną \(public domain\)](#). Szczegóły licencji na stronie autora: [Wincenty Kosiakiewicz](#).

X.

Nie na długo sobie Jagna spokój kupiła.

Nie upłynęło i pół roku, gdy przyszedł do niej Aplas, prosząc o parę rubli, skarżył się, że ma nieurodzaj w polu i brak pieniędzy.

Dała mu.

Od tego czasu zachodził co jakiś czas i zawsze wyciągał od Jagny po parę rubli. Gdy zaś dostał pieniądze w łapę, przepijał go zaraz na miejscu w bratkowskiej karczmie.

Aż tu pewnego razu dowiaduje się Jagna, że Aplas swój grunt całkiem zmarnował; pożyczał, póki się dało, gdzie się dało i na jaki procent chcieli. Wkońcu grunt wystawili na licytację i sprzedali, a Niemiec wyszedł z niego tak, jak przyszedł — bez grosza.

Oczywiście, że nie przyszedł gdzieindziej, jeno do Bratkowa.

Gdziekolwiekby poszedł, wszędzie musiałby biedę cierpieć lub pracować. A Aplas nie lubił ani biedy, ani pracy.

W Bratkwie zaś będąc, wiedział, że od Jagny, co chce, wyciągnie, że ma sposób na nią.

Zwaliła się więc bieda na głowę Jagny.

Nanowo więc Niemiec po trochu ciągnąc zaczął kobietę i nietylko wszystką gotówkę wyciągnął, jaką miała ze sprzedaży ziemi, ale jeszcze w długi pomału ją wprowadził.

Na domiar złego musiał po pijanemu wygadać do kogoś, że to on, a nie Tomasz, który w tym czasie umarły leżał w ciemnej komorze, sporządził ten testament.

Wieść tę pochwycono zaraz na języki.

Wszędy, gdzie się było obrócić, gadano o testamencie. Jedna

i druga kumoszka przypomniła sobie, że akurat wtenczas Aplas był zgolił sobie wąsy i brodę, cała wieś się z niego wówczas śmiała. Teraz już nikt nie wątpił, że wieść ta jest prawdziwa i że Jagna na gruncie siedzi na mocy nieprawego testamentu.

Wieści te, niby z dobrego serca, przyniosły jedna i druga baba Jagnie.

Jagna wpadła z gniewem na Aplasa, który się wyparł, aby cokolwiek komu powiedział. Zwymyślała go mimo to, ale ludziom to gęby nie zamknęło.

Gadali coraz głośniej o tej sprawie i gadanie to zwabiło nawet Jędrka, który chodził pomiędzy ludźmi, dowiadywał się, burzył ich na Jagnę i jej kryminałem groził.

Zaszedł raz nawet do chałupy Jagny i w oczy jej wypowiedział wszystko.

Tak więc z jednej strony te groźby i gadania po wsi chodzące, z drugiej strony Niemiec, który dobytek wysysał tak, jak pijawka wysysa krew z człowieka, doprowadziły Jagnę do tego, że utraciła zupełnie ducha.

Nieraz siadywała na progu domu i dumiała.

— Jaka byłaby szczęśliwa (wyobrażała sobie), żeby gruntu tego nie znała wcale. Bartek żyłby dotąd, wesół zawsze, dobry, pracowity i kochający ją. Pracowaliby ciężiej, ale już teraz to i dorobiliby się sześciu morgów. Coby to za śliczne było gospodarstwo! Małe, ale zasobne! I nie zaznałaby ani jednej z tych myśli, w których leży strach i obawa, a które męczą duszę, niby szatani potępieńca w piekle.

I Jagna gorzko żałowała, że zły duch wówczas przy łożu zmarłego podszeptał jej niedobłą myśl i że myśli tej usłuchała.

Oto i grunt ten wysuwa się jej z rąk i posiadanie jego nie

przyniosło jej ani szczęścia ani spokoju.



Ⓒ Tekst jest [własnością publiczną \(public domain\)](#). Szczegóły licencji na stronie autora: [Wincenty Kosiakiewicz](#).

XI.

Pewnego razu przyszła Jagnie myśl gorsza jeszcze, niż wszystkie, jakie przez głowę jej przechodziły. Ale nie mogła się jej oprzeć.

Postanowiła Aplasa otruć.

Wiedziała, że to grozi straszną karą, wiedziała, że czyn może się łatwo wydać. Ale chwyciłaby się czegokolwiek, bo już żyć dłużej w ciągłym strachu i widzieć, jak wszystek jej zarobek zabiera Niemiec — nie mogła.

We wsi o truciznę nie trudno. Niektóre stare baby, co się znają na czarach, mają pewien biały proszek, ukryty dobrze. Za papierka można proszku tego dostać tyle, że na jedną osobę zupełnie wystarczy.

Jagna kupiła trucizny.

Obmyśliła sobie nawet, że wsypie ją kiedy do mleka i niem poczęstuje Niemca.

Ale coś ją wstrzymywało od tej zbrodni.

Odkładała ją więc z dnia na dzień, nie śmiejąc wykonać.

Aż tu jednego dnia wchodzi Niemiec trochę podchmielony i mówi do Jagny:

— Wiecie co? moja żona umarła. Ja tera wdowiec.

Jagna kiwnęła głową. A on mówi dalej:

— I wy wdowa, to się pobierzmy.

Jagna spojrzała na niego.

— Ja miałabym wyjść za was? Czyście wy źle w głowie dostali?

— No, dlaczego? — zapytał Niemiec. — Wy mnie się podobacie, a i grunt potrzebuje gospodarza. Pracowałbym wam, że ha!

— Ależ — wyście innej wiary.

— To co! To ją zmienię.

— Nie... nie.. skąd wam to w głowie?

Ale pomyślała sobie, że nie byłoby to najgorzej tak zrobić, jak Aplas mówi.

Nie miała do niego wprawdzie ani krzty przekonania; nawet podobał się jej kto inny, i myślała nieraz, aby powtórnie wyjść za mąż. Ale tu miała wyrachowanie. Jak wyjdzie za niego, to już zamknie mu gębę dokumentnie i nareszcie uspokoi się.

Jagna do spokoju wzdychała, niby do raję.

Opierała się jeszcze trochę Aplasowi, ale to tylko ze zwyczaju.

Na jesieni zaś Niemiec przechrzczył się i wziął ślub z Jagną.

Wesele było bardzo sute.



XII.

Smutne to było małżeństwo.

Aplas ani nie tknął ręką roboty. Jagna również gospodarką przestała się zajmować. Oboje pili na zabój.

Gdy byli trzeźwi, to się bili, a na gruncie pracował parobek. Aby spłacić długi, odprzedali znowu dziesięć morgów.


Pozostałe dziesięć morgów starczyło im na trzy lata.

Aplas wszystko zmarnował i, gdy nic już z dobytku nie zostało, porzucił żonę i poszedł w świat.

Jagna, zbiedzona, sponiewierana nędzarka w łachmanach, pozostała sama z dwojgiem dzieci.

Nie wesoło jej było na świecie.

K O N I E C.

 Tekst jest [własnością publiczną \(public domain\)](#). Szczegóły licencji na stronie autora: [Wincenty Kosiakiewicz](#).

O tej publikacji cyfrowej

Ten e-book pochodzi z wolnej biblioteki internetowej [Wikiźródła](#)^[1]. Biblioteka ta, tworzona przez wolontariuszy, ma na celu stworzenie ogólnodostępnego zbioru różnorodnych publikacji: powieści, poezji, artykułów naukowych, itp.

W publikacji została zachowana oryginalna ortografia, oczywiste błędy w druku zostały poprawione przez redaktorów Wikiźródeł.

Wersja źródłowa tego e-booka znajduje się na stronie: [Trzydzieści morgów](#)

Książki z Wikiźródeł są dostępne bezpłatnie, począwszy od utworów nie podlegających pod prawo autorskie, poprzez takie, do których prawa już wygasły i kończąc na tych, opublikowanych na wolnej licencji. E-booki z Wikiźródeł mogą być wykorzystywane do dowolnych celów (także komercyjnie), na zasadach licencji [Creative Commons Uznanie autorstwa-Na tych samych warunkach wersja 3.0 Polska](#)^[2].

Wikiźródła wciąż poszukują nowych wolontariuszy. [Przyłącz się do nas!](#)^[3]

Możliwe, że podczas tworzenia tej książki popełnione zostały pewne błędy. Można je zgłaszać na [tej stronie](#)^[4].

W tworzeniu niniejszej książki uczestniczyli następujący wolontariusze:

- Wieralee
- Kuladam
- Himiltruda

-
1. [↑ https://pl.wikisource.org](https://pl.wikisource.org)
 2. [↑ http://www.creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0/pl](http://www.creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0/pl)
 3. [↑ https://pl.wikisource.org/wiki/Wikiźródła:Pierwsze_kroki](https://pl.wikisource.org/wiki/Wikiźródła:Pierwsze_kroki)
 4. [↑ http://pl.wikisource.org/wiki/Wikisource:Skryptorium](http://pl.wikisource.org/wiki/Wikisource:Skryptorium)